Rozmaitości

Dnia 16. Kwietnia **Nr 16.** 1836 Roku.

WIECZÓR

U PANNY DUCHESNOIS.

Starzéć się! jestto rzecz okrutna dla kobiéty, a tém okrutniéjsza, kiedy głośną potęgą talentu panowawszy, przyjdzie jéj potém, jak onéj z tronu strąconéj i na wygnanie skazanéj monarchini, w cichém ustroniu życie przepędzić!

Téj bolesnéj prawdy nikt żywiéj nie uczuwał nad pannę Duchesnois. Nie tylko na teatralnych deskach wywiérała ona władzę swoję; jéj majątek, wziętość, przyjaciele dawali jéj także w rzeczywistém życiu do wielkiego wpływu nie małą sposobność, któréj ona, chętnie to wyznajemy, na same tylko szlachetne cele używała. Liczba osób, którym urzędy wyjednała, jest niezliczona; a liczba od wygnania ocalonych, daleko jeszcze jest większa. Dom jéj był przytułkiem prześladowanych wszelkiéj barwy politycznéj. Z początkiem roku 1815 było tam miejsce ucieczki dla ściganych bonapartystów; lecz kiedy cesarz znowu na tron powrócił, a prześladowani stali się prześladowcami, natenczas rojaliści znajdowali u niéj bezpieczne schronienie. Z tego względu przytaczamy tu powiastkę, nie wielu osobom znaną, za któréj prawdziwość ręczyć możemy:

Między bonapartystami, którzy w piwnicach Duchesnois przed siepaczami bezpieczeństwo znajdowali, był jeden także, który zaraz po ucieczce Ludwika XVIII. wyszedł z téj kryjówki, aby bardzo ważny urząd objął w ministerstwie policyi. Owto niedawny wygnaniec natychmiast zebrał się do ułożenia spisu osób, których na wygnanie wskazać zamyślał, i tak sobie postąpił, jak gadzina w bajce, która w to łono, gdzie odzyskała życie, poźniéj jadowite żądło utapia. Pewny spaniałości i dobrego serca panny Duchesnois, przez szkaradny wniosek opisał dom téj sławnéj artystki jako gniazdo przechowujące tych, których na ofiarę przeznaczył. Natychmiast narzędzia złości otoczyły dom na ulicy *St. Lazare* i chciały wejść weń przemocą. Lecz panna Duchesnois oparła się mężnie, pospieszyła do owego człowieka, zdradzającego ten przytułek, który przed niedawnym czasem własną głowę jego ocalił, i tyle odwagi, tyle stałości umysłu dowiodła, i z tyloma przeciw niemu zarzutami i groźbami powstała, iż ze wstydu i bojaźni liczbę proskrybowanych spalić przymuszonym został.

Lipcowa rewolucyja, która tak wielkie we wszystkiém sprawiła wstrząśnienie, która niejednę wielkość obaliła, nie była bez wpływu także i na położenie artystki. Już w r. 1832 znaczenie, sława, przyjaciele, wszystko ją opuściło, i tylko bardzo mała liczba przychylnych składała jéj poufne grono.

Odtąd umysł artystki przepełniony był głębokim, trudnym do opisania smutkiem, o którym można powiedzieć, że serce lodem ścina, i oddech zabija. Pełna rozpaczy, że *théatre français* opuściła, o jednéj tylko rzeczy marząc Duchesnois, w myślach i słowach jednym tylko zajmowała się przedmiotem — to jest: aby na scenę znowu powróciła. Pasmo tego przedmiotu wiło się przez wszystkie jéj zabawy i czepiało się końca każdéj jéj rozmowy, jak owe niegdyś: *Ceterum censeo Carthaginem esse delendam*, czepiało się zakończenia w każdéj mowie Katona. Wstrząśnienia zaszłe w istocie i formie sztuki dramatycznéj, a bardziéj jeszcze choroba, która zaczęła nawiédzać artystkę, uczyniły jéj wstęp na scenę

niepodobnym. Wierni przyjaciele, umiejący lepiéj pojmować niepojednaną sprzeczność między życzeniami ubóstwionéj przyjaciółki, a okolicznościami czasu, zostali w bolesną konieczność wprawieni, albo mówić otwarcie, przezcoby zadali jéj cios śmiertelny, albo być niemymi świadkami owych nieustannych żalów i owych nigdy nieuiszczonych przedsięwzięć.

Pewnego wieczora wynurzyła panna Duchesnois żale swoje przed towarzystwem, z którego kilka osób dokładniéj określić chcemy: Na sofie w budoarze, skromnym smakiem ozdobionym, siedział pewien młody mężczyzna z melancholijnym wyrazem twarzy; powrócił nie dawno on z Włoch z obrazem, który imię jego umieścił pomiędzy gwiazdy malarzów piérwszéj wielkości. W milczeniu słuchał on boleśnych skarg artystki wygnanéj ze sceny. Obok niego siedział silny, słuszny mężczyzna, w którego rysach spotykała się łagodność z surowością, na którego głowie biały i czarny włos malowniczo się układał, a uśmiéch sardoniczny igrał na ustach jego. Była tam oraz w towarzystwie swojéj matki młoda panienka, która odczytała poemat *o Sławie*. Wzrost jéj był nizki, afrykańskie rysy świadczyły obce pochodzenie, ubior jéj przerażał wzrok przez panującą w nim mieszaninę dumy i nędzy, a jéj wielkie i czarne oko miało w sobie coś zabójczego.

W chwili gdy powstała, aby odejść, wszedł jakiś mężczyzna dobréj tuszy, pięknie ułożony, z rysami pełnémi złośliwości. Panienka i matka jéj pożegnały gospodynię domu, albowiem już biła godzina dziewiąta, a one musiały iść piechotą na przedmieście St. Germain.

»Kto jest ta panienka?« zapytał przybyły.

»Kochany Arnault!« odpowiedział mężczyzna, siedzący obok młodego malarza; »jestto Eliza Mercoeur.«

»Czy znasz ją wćpan, baronie Gros?« *)

»Tak jest, własnie czytała nam przedziwne wiersze.«

»Wiersze!« powtórzył Arnault, wzruszając ramionami, »zaiste daleko lepiéjby uczyniła, gdyby robiła pończochy, których zdaje się być potrzebną.«

*) Baron Gros, sławny malarz, który malował bitwy Napoleona.

Arnault, autor *Germanica* i ostatni z lepszych szermierzy w sprawie szkoły klasycznéj.

»Co słyszę!« zawołał młody malarz; »czy podobna, aby Arnault z taką surowością potępiał poetyczne powołanie?«

»Powołanie?... nie rozumiém, co to ma znaczyć. Próżność półgłówka, jak wewnętrzne uznanie jenijuszu mogą zarówno do człowieka zawołać: *Bądź artystą!* Chcę wćpanom w téj mierze mało znaną historyjkę opowiedzieć: Boileau w starości z każdym dniem stawał się mrukliwszym, tak dalece, że w końcu nie wychodził już z domu i przed wszystkimi, jak przed powietrzem zamykał się literatami, którzy codziennie przychodzili do niego po radę i po zalecenie do wydawców książek. Gdy zaś niektórzy z nich przez podejście lub przebiegłość umieli wyjednać sobie przystęp do niego, zły jego humor nie raz przechodził granicę. Pewnego dnia słyszał on jak u jego drzwi zadzwoniono. »Przez Boga!« zawołał, »nie odtwiérajcie! to jakiś poeta zapewne.« — »Nie panie,« odrzekł służący, »to nie jest poeta, to pański adwokat, pan Prieur.« — »Dzięki Bogu!« powiedź mu, że go czekam z upragnieniem.« Adwokat usiadł obok Boileau i zdawał mu sprawę z powierzonych sobie interesów. Po skończonéj pracy rzekł Prieur: »Otóż kiedym, panie Despreaux, twoje sprawy wyrobił, teraz upraszam ciebie nawzajem, abyś dla mnie także coś uczynił. Prawie od sześciu miesięcy pewien młody chłopiec zostaje u mnie za pisarza, który do mojego zawodu wcale się nie przydał. Jest on synem mego przyjaciela, dla tego też nie chciałbym ojcu jego przyczynić zgryzoty, gdybym go odprawił.« — »A cóż ja w tém poradzić mogę?« zapytał Boileau. — »Proszę tylko o cierpliwość!« odpowiedział adwokat, »młodzieniec ów, tak nie zdatny do moich interesów, ma pełno talentu i dowcipu; zły z niego pisarz, lecz zato pilny poeta.« — »Ach!« wykrzyknął Boileau i zerwał się z miejsca, jakby go piorun raził. »Już on« mówił daléj Prieur, »napisał piękne rymy w trajedyi: *Les enfans de Brutus.* Zaniósłem był tę trajedyję aktorom, ale ci bezbożni nic o niéj wiedzieć nie chcieli.« — »A taż piérwsza nauka, czy poprawiła młodego wiérszopisa?« zapytał Boileau. — »Przysiągł nigdy w życiu więcéj wiérszy nie pisać, i trajedyję w ogień rzucił. — »Dziękiż Bogu!' widać, że ma rozsądek.« — »Poczekałem pokąd piérwsze wzruszenie

boleści nie ukoiło się w jego duszy,« mówił Prieur, »i dopiéro poźniéj zacząłem go znowu zachęcać, powróciłem mu nadzieję i ufność we własne siły, młodzieniec rzucił znowu się do dzieła i właśnie nową trajedyję ukończył.« — »Czyliż można, panie Prieur!« zawołał Boileau; »poczciwi ludzie powierzają wćpanu swoje dziecko, abyś go pożytecznych rzeczy nauczył, a wćpan obudzasz w nim szał wiérszopiski, który jest tylko owocem próżności i lenistwa? Uwodzisz młodego człowieka i rzucasz go w zawód pełen nędzy i złudzenia.« — »Wstrzymaj się panie z tak surowym sądem, pokąd mu nie przeczytam piérwszéj sceny z jego trajedyi, pod tytułem: *Idoménée*.« Boileau podczas czytania siedział jak na szpilkach. W końcu opuściła go cierpliwość i przerwał adwokatowi: »Dosyć, przez Boga! dosyć!« zawołał, »czy chcesz przyspieszyć godzinę śmierci mojéj? Z chęcią, z chęcią opuszczę ten świat, który tak nędznych wiérszokletów wydaje.« Nie ukontentowany adwokat odpowiedział, że z tych kilku wiérszy nie można jeszcze o całości sądzić: »Nawet wewnętrzne powołanie, jakie mój wychowaniec uczuwa, przekonywa o jego talencie. Jeżeli ktoś dla niepohamowanéj skłonności majątek i przychylność rodziców poświęcić jest w stanie, zapewne takiemu wewnętrzny głos powiada: *Bądź poetą, czeka cię sława!*« — »Z tém wszystkiém, powołanie niczego nie dowodzi, panie Prieur; znasz Chapelaina i jego obmiérzłe skąpstwo, zapewne w wćpana biórze nié masz żadnego pisarza, któryby nie naśmiewał się z ubioru tego dziwacznego sknéry, a przecież ten śmiészny skąpiec odrzucił posadę na 12,000 talarów; czy słyszysz wćpan? posadę na 12,000 talarów, aby mógł ukończyć swoję *Pucelle*. Kiedy bowiem pan Longueville w urzędzie piérwszego posła na zamknięcie westfalskiego pokoju do Münster odjeżdżał, został Chapelain mianowany sekretarzem poselstwa, a jednak nie przyjął tego miejsca, ponieważ takowe, jak mówił, przeszkadzało mu do ukończenia jego *Pucelle*. Pytam zatém wćpana, azali ten człowiek miał istotne powołanie do poezyi? I czyliż ten brudny sknéra nie poświęcił swojego szczęścia urojonemu powołaniu?« Pomieszany Prieur powrócił do siebie smutny i zamyślony, jednakowož nic swemu dependentowi nie wspomniał o rozmowie z Boileau. Powodzenie jakie miały wkrótce potém *Idoménée*, a jeszcze więcéj *Réadamist*, pocieszyło znowu Prieura. Podczas kiedy dawano ostatnią tę trajedyję, był on chory; kazał się do teatru zanieść, a po świetném powodzeniu sztuki uściskał swego młodego przyjaciela ze łzami radości w oczach, i zawołał: »Teraz spokójnie umiérać mogę, zrobiłem z ciebie poetę, i dałem narodowi wielkiego człowieka. Lecz Boileau nabawił mię trwogą, przekonał mię on o żałosnéj prawdzie, że nawet i głupia głowa równie może się uczuć być powołaną do poezyi, jak i jeniusz.«*)

Nato odezwał się baron Gros: »I cóżto pomoże, czy powołanie jest prawdziwe, czy pozorne, kiedy niestety! powołanie zawsze jest nieszczęściem! Któż z nas nie przeklina wieńca swego, który otacza skronie nasze? Być nieznanym, pospolitym, miernym, oto są drogi do szczęśliwego życia!«

»Publiczność jest niewdzięczną!« dodała Duchesnois.

»Jenijusz w nas gaśnie,« rzekł baron Gros uroczystym tonem, »artysta kiedy się przeżyje, podobny jest bezdusznemu ciału!« Po tych słowach podniósł się i odszedł z młodym malarzem.

»Ten diabeł Gros,« rzekł nato Arnault, »zdaje mi się, źle zakończy. O szaleństwo! potrzeba się nauczyć wiedzieć, kiedy przestać potrzeba umieć zrzéć się sławy, podobnie jak kobiéta, która umié rzéć się prawa do młodości i piękności. Jestto okrucieństwo, lecz na nieszczęście, konieczne! Co do mnie naprzykład, przestaję już pisać, i mam się dla literatury za umarłego.«

Jednakże nie długo potém wydał on: *Memoires d'un Sexagenaire*.«

Co zaś do innych osób, którzy wraz z nim na powołanie powstawały, los ich wszystkim wiadomy. Eliza Mercoeur umarła z rozpaczy. Panna Duchesnois uległa pod ciosem okropnych cierpień, a jéj ostatnie słowa wyrażały żal, że niegdyś tryumfowała na scenie. Baron Gros, jakże on skończył?!

*) Powieść, którą tu Arnault przytacza jest o Krebilionie starszym, którego wtenczas Francuzi mieli za jednego ze trzech wielkich traików, a teraz przecież zgadzają się na to, co Boileau o nim dawniéj wyrzekł.

Pana Arnault znaleziono martwego w jego krześle. A młody ów malarz byłto — Leopold Robert.*)

SONETY T. A. OLIZAROSKIEGO.

I.

PŁOCHA NIEWIASTA.

Niewiasto! ten się męczy. Któż mu sprawił mękę?
Tamten wzdycha, niewiasto! kto mu dał westchnienie?
Jeden posiadł nadzieję, drugi przyrzeczenie,
Trzeci serce, a czwarty i serce i rękę.

U tego wynęciłaś wdziękami piosenkę,
Temu szczęście zabrałaś, zostało... marzenie.
I mówią, o niewiasto, że ty masz sumienie
Tak białe jak twa ręka. A śnieżną masz rękę!

Przylecą czasy tobie, o niewiasto płocha,
Że i ten, który dzisiaj o twych wdziękach marzy,
Który nawet płochości twoje dzisiaj kocha;

Poźniéj, gdy barwę wiosny jesień zdejmie z twarzy
I kwiaty ócz twych zgasną, on powié z uśmiechem:
»Była piękną, jest brzydką;« i minie z pospiechem.

II.

DOSKONAŁOŚĆ.

Bóg stworzył piękność, lecz niedoskonałą.
Doskonałości uszczuplił pojęcie.
Ja człowiek, boskie miałem przedsięwzięcie,
Powiém co chciałem, co się z chęci stało:

Piękne dziewice dwiem ujrzał, i w sobie
Rzekłem, i błędnie acz po myśli długiéj;
Wykradnę serce jednéj, dam jéj drugiéj,
I doskonałość, doskonałość zrobię!

Tą dziwną myślą okręciłem głowę,
Na obie patrząc obie pół-kochałem;
Jedna spostrzegła méj myśli osnowę,

I obróciła wdzięki swe ode mnie;
O drugiéj sercu na próżno myślałem...
Kochaj dwie, kochać kto chcesz nadaremnie!

III.

DZIECIĘ.

Dumającemu o szczęściu śmiertelnych
Bogu, łza z oka uciekła;... łza Boga
Ciebie stworzyła, o dziecino błoga!
Z cząstek twéj duszy, i z nieskazitelnych

Kwiatków twéj myśli, i z twojéj młodości
Tkam obraz krain dobrym obiecanych.
Na ciebie patrząc, o tych tak nieznanych
Marzyć krainach nabrałem miłości.

Gwiazdka z rąk niebios ludziom upuszczona
Twojęby postać na siebie przywdziała;
Nadzieja gdyby taki uśmiech miała,

Jaki w twych ustkach i u twego łona
Matki natury trzyma dłoń zielona,
Nadzieja zwodzić nas by nie umiała.

IV.

DO MISTRZA.

Błogosławion bądź mistrzu! A toć twoje dziwy
W tém, że śpiéwam dla świata. Wędrowce padołu
Ukazują mnie sobie, i mówią pospołu:
»Uczcijmy wieszcza! rzućmy nań wzrok przyjaźliwy.«

Mistrzu! spojrzałeś w duszę moję, i płomienie
W iskrach jeszcze leżące mocą twéj wielkości
Zbudziłeś, i wyniosłeś przed oczy ludzkości,
I dałeś, bo pojąłeś moje przeznaczenie!

Lubię pamięć, i słodka jest dla mnie i święta,
Jeźli sprawy przeszłości miłe mi pamięta.
Czasy twych nauk mistrzu, i twoje przygany,

I pochwały, i sławy kraj przyobiecany
Pamiętam. I śnię, roję o nieśmiertelności,
I los mi się uśmiécha, przyjaciel młodości.

OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.

V.

WRÓŻBY.

Wystawiający sobie wszystko w Paryżu wielkiém i mądrém, nie zechcą może uwierzyć, że i tu są osoby, jedne co wróżą przyszłość, drugie co przez sposoby kabalistyczne chcą się o niéj dowiedziéć. I w rzeczy saméj, ten rodzaj zabobonności dziwno wydawać się powinien w mieście, gdzie mało kto ma wiarę w skrytości poważniéjsze i świętsze, niż są tajemnice, ukryte we wróżbach ludzkich. Nie mniéj dla tego są w Paryżu ludzie, co wróżą, i co do wróżby przywiązują wiarę. Tak zawsze bywało i tak podobno będzie, bo człowiek, któremu dano pamiętać przeszłość, rozpoznawać teraźniéjszość, posiada tylko słabą władzę niepewnego o przyszłość wnioskowania. A i tę możność przewidywania, ileż nie udaremnia nieprzywidzianych przypadków i wydarzeń? Im trudniéj człowiekowi wdziérać się w tajemnice przyszłości, tym bardziéj zaostrza się jego ciekawość, tym gwałtowniéj chciałby zerwać zasłonę, kryjącą przyszłe jego losy. To pasowanie się rozumu, czyto z nieubłaganém przeznaczeniem, czy ze ślepym

*) Malarz Robert, którego obraz: Żniwacy, zrobił mu wielką sławę, zadał sobie śmierć w r. 1835 z miłości ku pewnéj dziewczynie, która komu innemu oddała rękę; ostatni utwor jego pędzla był: Rybacy na Adryjatyckiém Morzu.

przypadkiem, czy z niezłomną wolą, przed którą należałoby mu się tylko korzyć, wprowadza go na bezdroża złudzeń, marzeń i zabobonów. Ztąd owe mnóstwo przepowiedni wieszczbiarskich, owe wyrocznie, owi astrologowie, chiromanci, kabalistycy, czarnoksiężnicy, nareszcie w nowszych czasach, owe wróżbiarstwa z kart, których dosięgnąć nie mogą ani prawa, ani policyje, ani przestrogi rozumu.

Te trzy władze, lubo poważne i silne, nie były dosyć potężne przeciw wróżbiarstwu paryzkiemu. Prawa francuzkie, policyja paryzka i rozum Paryżanów, widząc daremne swoje przeciw wróżeniu usiłowania, porozumiały się i powiedziały sobie: »Dajmy pokój nieszczęśliwym, nie prześladujmy ich, nie odbiérajmy im jedynéj może dziś pociechy i nadziei!« — Życzliwa ich względność była dla wróżbiarstwa bolesniéjszym ciosem, niżby mu dokuczyć były mogły prześladowania najzaciętsze. Zarobek bez pracy, bez nakładu, bez opłaty, bez usposobienia, stał się oczywiście bardzo przystępnym i wnet rzucili się do niego próżniacy odwykli od pracy i kobiéty nieszczęśliwe, z wiekiem pozbawione sposobu życia. Nie jedna sława wróżbiarska, która na wsi, lub w miasteczku, rozlegała się na kilka mil do koła, złudzona łatwością tego rodzaju zarobkowania w Paryżu, wzgardzała publicznością, która jéj dawała życie i przeniosła się do stolicy, gdzie zawiedziona w swoich nadziejach opłakuje swoję dumę pod strychem i w biédzie.

Wróżbiarze i wróżbiarki obiérają tu zwykle mieszkanie w blizkości targów, bo kupujący dla siebie żywność ubodzy, a zatém najwięcéj spodziéwający się od przyszłości, klasa służących i proletaryjuszów, równie ciekawa, jak pragnąca innego bytu, tam codziennie przychodzi z potrzeby i obowiązku. Rozdają zwykle pomiędzy tę ludność, bilety, na których wydrukowane jest tylko nazwisko z liczbą domu i ulicą. Zamilczenie na bilecie stanu jest już przyjętém wyznaniem profesyi wróżbiarskiéj. Zwyczajne karty, czasem z napisami dla ułatwienia pamięci, są u nich jedynym środkiem zapytywania przyszłości. Zdarza się także spotykać ruchome sklepiki, gdzie oprócz innych drobiazgów sprzedają karteczki z rozmaitémi napisami wróżbiarskiemi. Inni ogłaszają sprzedaż takich karteczek, ale tylko porą wieczorną, krzycząc donośnie, że przepowiadają przyszłość.

Skutkiem tolerancyi namnożyło się w Paryżu tyle wróżków i wróżek, że trudno byłoby powiedziéć, która liczba jest większa, czy oszukujących, czy oszukiwanych. I dla tego téż powaga i zarobek tak łatwego stanu na nic tu prawie zeszły.

Jakoż nie warto było może mówić o tym rodzaju ludzi, gdyby się nie znajdowała pomiędzy nimi kobiéta sławna, która przepowiadała losy Napoleona, któréj się pytały o przyszłość osoby najznakomitsze, która z wróżb zrobiła majątek, i dziś jeszcze z tego rzemiosła wielkie ciągnie dochody, słowem, gdyby się nie znajdowała w Paryżu panna Lenormand.

Wróżka ta była w łaskach wielkich u cesarzowéj Józefiny, ale względy tak wysokie nie mogły jéj zasłonić od wygnania z Francyi. Napoleonowi się zdawało, że knowała przeciw niemu spiski. Przez czas wygnania mieszkała w Belgii, gdzie pisała proroctwa przeciw swemu prześladowcy, które wszakże dopiéro po jego upadku zostały ogłoszone.

Właściwi mieszkańcy Paryża, a w ogólności Francuzi nie wiele przynoszą jéj zysku; dla ubogich, czyli według powszechnego przyjęcia, dla nieszczęśliwych, jest za droga; dla bogatych nie potrzebna, bo tylko nieszczęśliwi są zabobonni. Przysłowie także niesie, że nikt nie jest prorokiem w swojéj ojczyźnie.

Ale największy haracz pobiéra od cudzoziemców, którzy chcąc zwiédzić wszystkie osobliwości Paryża, przychodzą do niéj w rozumieniu, że i ona jest jedną z tych osobliwości. I ja tak myślałem.

Byłoto jeszcze roku 1832. Na domu, gdzie mieszka, jest znak z napisem: *Librairie de Mlle Lenormand.* Nie wiém, ale wątpię, czy istotnie ma księgarnię, i rozumiém, że znak ten położony, więcéj w celu trafienia do wróżki, niż dla wskazania handlu księgarskiego. Pokazano mi wnijście do jéj mieszkania, w głębi domu, na dole wprowadzono mnie do obszérnego salonu. Panna Lenormand kładła właśnie dla kogoś karty, i nie mogła mnie przyjąć natychmiast; miałem więc czas rozpatrzyć się w przedsionku téj świątyni sybilskiéj. Wszystko tam zapowiada miejsce tajemnicze, i obliczone jest na uderzenie i pod-

niesienie wyobraźni: na ścianach i na obrazach same sfinxy, piramidy, hieroglify.

Przerwało uwagi nad témi znakami przybycie młodéj damy; twarz jéj wyrażała głęboki smutek; z ubioru sądząc, widać było, że nie pragnęła dostatków, a przecież zdawała się być nieszczęśliwą. Jak nie mogła utaić, że nie sama próżna ciekawość sprowadza ją do wróżki, tak trudno jéj było ukryć bojaźliwego wyznania, że u niéj przychodzi szukać pociechy.

Nareszcie otwiérają się drzwi drugiego pokoju i panna Lenormand, nie tracąc czasu, zaprasza mię do siebie. Chciałem dać pierwszeństwo przybyłéj po mnie nieszczęśliwéj, ale zabraniał tego zwyczaj, ściśle u wróżki zachowywany, wszyscy u niéj są równi i wszystkich przyjmuje tylko z kolei.

Wiedziałem, że ta panna nie jest już w kwiecie wieku i w tém się nie omyliłem; może miéć teraz około lat pięćdziesiąt. Ale wyobrażałem ją sobie, jeźli nie jak sylfidę, to przynajmniéj jak istotę, należącą więcéj do świata duchów, niż do zwyczajnych na ziemi kobiét, i w tém się omyliłem. Panna Lenormand nie wygląda bynajmniéj na osobliwość nadprzyrodzoną, ani nawet na pannę sentymentalną; nie jest ani blada, ani szczupła, ani składu ciała delikatnego. Owszem, niepospolitą ma otyłość, twarz hojnie ubarwioną, kształty ciała silne, głos prawie męzki, ale czarne jéj oczy są przenikające. Miała na głowie czarno-aksamitny beret, kolosalnéj wielkości, z pod którego spadały piękne i zbyt na jéj wiek świéże kędziory czarnych włosów; reszta ubioru była bardzo skromna.

Usiedliśmy przy stole, na którym obok licznych talij kart rozmaitéj wielkości znajdował się prawdziwy kopiec kilkuset sztuk złotych i srébrnych pieniędzy. Że karty na nim leżały, to bardzo naturalnie; ależ te pieniądze, jaki związek mają z przepowiadaniem przyszłości? Panna Lenormand musi to najlepiéj wiedziéć z własnego doświadczenia. Ten hieroglif kruszcowy należy zapewne do jéj systematu i wyraża wymownie dwie rzeczy; najprzód, że potrzeba jéj zapłacić za wróżenie, a powtóre, że nie przestaje zostawać w posiadaniu sławy, która jéj sprowadza takie stosy pieniędzy. To czyni zaszczyt jéj rozumowi, pokazuje, że zna ludzi, i że czytała Owidyjusza: *Donec eris felix, multos numerabis amicos tempora* i t. d.

Zmierzywszy mnie wzrokiem bystrym zapytała o pierwszą głoskę narodu, do którego należę, potém o źwierzę, które najbardziéj lubię? »Konia!« odpowiedziałem bez namysłu; bo któż nie dawałby tego pierwszeństwa stałemu, a bezinteresownemu spólnikowi dziejów ludzkich? Daléj chciała wiedziéć dzień urodzenia, mój ulubiony kolor i jaki kwiat lubię. »Jaki kwiat...?« powtórzyłem, nie wiedząc któremu dać pierwszeństwo. »Dosyć mi na téj niepewności,« rzekła, i nie czekając odpowiedzi, wzięła taliję kart w rękę, i zaczęła je mieszać, ciągle na mnie patrząc.

Dotychczas wszystko szło bardzo dobrze; panna Lenormand zdawała mi się być coraz bardziéj natchnioną, wzrok jéj coraz bardziéj przenikającym. W łatwowiernych obudzałaby zaufanie, gdyby ich w ciekawości tak chciała do końca utrzymać, jak ją umié obudzać. Ale jéj nie oto idzie. W chwili, kiedy już daje karty do zebrania, przerywa ton uroczysty, spada z wysokości na ziemię i rozprasza wszelkie złudzenie, zapytając na jaką cenę życzę miéć karty położone, czy na sześć, czy na dwanaście, czy na dwadzieścia, pięćdziesiąt, albo więcéj franków?

»Jaka różnica,« zapytałem, »między témi rozmaitémi stopniami przepowiedni?«

»Za sześć franków,« odpowiedziała, »odkryję przyszłość, ale tylko w ogólnych rysach i tylko z jednych kart; za dwanaście powiém to samo, radząc się kart rozmaitych; za dwadzieścia będę mogła powiedziéć również o przeszłości i teraźniéjszości i złożyć tém samém większy dowód mojéj sztuki; za większe ceny opowiém ze szczegółami przeszłość i przyszłość.«

Wybrałem oczywiście najniższą cenę i nasłuchałem się prawie przez kwadrans mnóstwa ogólnych przepowiedni, mnóstwa słów, sztucznie ułożonych. Za sześć franków trudno było więcéj żądać talentu wróżbiarskiego, biegłości krasomowczéj, znajomości umysłu i serca ludzkiego. Mówiła wiele, prędko, bez przerwy, o nadzwyczajnych zdarzeniach, o lądach i morzach, i zdawało mię się, że niekiedy przybiérała ton natchniony i uroczysty. Co jednak w niéj najwięcéj mogłoby zadziwiać, to trafność, z jaką zgaduje przychodzącego do niéj życzenia i nadzieje.

— Z Paryża. —

Lipiński w Paryżu. (Dnia 28. marca r. b.) Nareszcie po długiéj zwłoce, któréj przyczyny dotknąłem w ostatnim liście, nasz znakomity od Newy do Renu wsławiony artysta wystąpił w Paryżu na publicznym koncercie dnia 3. marca w sali ratusznéj, zwanéj S. Jana. Orkiestra opery wielkiéj czyli akademii muzycznéj, pod kierunkiem Habeneka, otworzyła koncert wzorowem wykonaniem *wstępu* do *Wolnego strzelca* Webera. Po krótkiéj przerwie, zaledwie się Lipiński pokazał, ażeby wykonać swój *Concerto militare*, rzęsiste oklaski napełniły salę, jak gdyby dla powitania nieznanego jeszcze publiczności, ale już przez znawców ocenionego artysty. Po nim wykonał P. Serda śpiew z Mozarta. Z kolei grał Lipiński *Rondo romantyczne*, P. Brod solo na oboi z tematu pieśni szwajcarskiéj, a Panna Darus-Gras, jedna ze śpiewaczek piérwszych wielkiéj opery, wykonała śpiew ze sztuką i nadzwyczajną łatwością. Ten prawdziwie muzykalny wieczór zakończył sam Lipiński wykonaniem waryjacyj z kawatyny *Cyrulika Sewilskiego*. — Jak w wykonaniu tych kompozycyj całe bogactwo swojéj sztuki zdziwionym słuchaczom pokazywał i jak po mistrzowsku władał swoim instrumentem, dowiodły tego najlepiéj okrzyki i oklaski po każdém pokazaniu się jego, po każdém zakończeniu, a nawet w ciągu gry saméj. I oklaski te miały swoję wagę i znaczenie, bo pochodziły nie tyle od profanów, ślepo idących za zdaniem poświęconych sztuce, ile od artystów i znawców, którzy w połowie większéj składali publiczność tego wieczora. Zadziwienie ich równało się uwielbieniu, bo nie jednemu się zdawało, że jest niepodobieństwem, ażeby syn Północy, objawiał w sobie talent, który podług przesądnego mniemania Francuzów, nawet muzykalnych, może być udziałem tylko Włochów, a w ogólności tylko południowych artystów. I dla tego zdarzyło mi się słyszeć, jak niektórzy, unosząc się nad jego grą, w uprzedzeniu swojém, to uczniem Paganiniego, to Włochem go mienili. Najpiękniéjsze wszakże świadectwo talentu Lipińskiego dał Habenek ze swoją orkiestrą. Ten może najpiérwszy w świecie dyrektor orkiestry, rzadko komu czyni tę przysługę muzykalną. Dla Lipińskiego zdawało się, że z radością ją wypełnia, a ile razy tylko uwagę swoję od kierunku orkiestry mógł oderwać, tylekroć na twarzy jego malowało się wrażenie gry Lipińskiego i odbijało się uczucie, które w serce jego przenosił nasz ziomek. Trzeba było widzieć, jak ten mistrz sam nie zawsze mogąc być panem siebie, to minami, to poruszeniem smyczka, przestrzegał i napominał swoich podwładnych, bez wyjątku dobrych artystów,*) ażeby uważali nie na grę Lipińskiego, ale na nóty; trzeba było widzieć ich radość, ile razy pauzy dawały im swobodnie unosić się nad czystością, mocą i nową dla nich, że tak powiém, wymową gry Lipińskiego. Wszystko to, i orkiestrę, i jéj dyrektora, i publiczność trzeba było widzieć, ażeby sobie wystawić wrażenie, jakie wieczora tego Lipiński sprawiał na kilkuset widzach. — Inna rzecz, czy publiczność paryzka ocenia już talent i grę Lipińskiego? Mnie się zdaje, że jest niepodobną, ażeby publiczność paryzka już teraz powtarzała z uniesieniem imię jego. Mogłaż, nie mówię, pojąć go, ale tylko poznać, kiedy go jeszcze nie widziała, nie słyszała? Bo w sali S. Jana byli, jak się rzekło, sami prawie artyści, a na właściwą publiczność, nie było tam nawet miejsca. Miejmy i na to wzgląd, że to puliczność nie małego miasta, ale ogromnéj stolicy; nie świata muzykalnego, ale publiczność Paryża, rozrywana na wszystkie strony niezliczoném mnóstwem zabaw, widowisk i interesów. Tu oszczercy nawet potrzebują tysiąca trąb, chcąc dopiąć swego celu, tu szarlatani i samochwalcy mają wiele do roboty, aby rozgłosić swoje imię, a o ileż trudniéj jest miłośnikom sztuki, zjednać powszechną sławę dla talentu skromnego, brzydzącego się intrygami, a rzeczywiście niebezpiecznego dla tylu innych imion, dla tylu innych interesów. Nim Paganini do Paryża przyjechał, ileżto płatni przyjaciele jego nie używali środków, ażeby obeznać z nim publiczność paryzką! I czy rozumiecie, że pisali o jego talencie, o rzeczywistéj jego zasłudze muzykalnéj? Bynajmniéj. Oto rozpisywali bijografije jego, w których dziwne rzeczy o nim głosili: To żonę zabił, to zjadł serce kochanki, to całe życie w więzeniu przesiedział i tam na jednéj strunie miał się nauczyć wydobywania tonów piekielnych. To wszystko tak zaostrzyło ciekawość Paryżanów, że kiedy mu Włosi w swoim teatrze pozwolili wystąpić, piérwsze damy i piérwsi panowie cisnęli się, ażeby widzieć, nie artystę znakomitego, ale człowieka, którego zbrodnie miały zrobić artystą. Każdy ma swój sposób działania. Lipiński na szczęście nie mógł i nie chciałby używać takich środków. Innym, tak szlachetnym, jak gra jego sposobem, dąży do swego celu. I już go dopiął, lubo jeszcze publiczność paryzka nie powtarza jego imienia. Bo kiedy pewnie znawcy do dziś dnia w zdaniach o Paganinim są podzieleni, tymczasem już dzisiaj pomiędzy artystami paryzkimi względem Lipińskiego jedno tylko panuje zdanie. — Są jeszcze okoliczności, które wstrzymały szybkie rozejście się w tutejszym świecie zasłużonéj Lipińskiego sławy. Nie będę o nich wspominał; nadmienię tylko, że podobni grajkowie, jak P........ i inni amatorowie, szarlatanstwem i miernością, utrudzają w publiczności paryzkiéj wiarę w wielki talent Polaka. — Kilka dzienników oddało, ale tylko w ogólnych wyrazach, zasłużone grze Lipińskiego pochwały. Szczegółowego rozbioru i ocenienia koncertu jego, do dziś dnia (28. marca) żaden jeszcze dziennik nie umieścił. — Ma on grać powtórnie w wielkim teatrze *Odeonie*. Xaw. B.

Z innego znowu dowiadujemy się źródła, że pan Lipiński d. 26. marca grał koncert dla pani Albertazzi, śpiewaczki włoskiéj, i był od publiczności bardzo zaszczytnie przyjęty; drugi zaś koncert dla siebie ma dać dnia 15. kwietnia.

— Ze Lwowa. —

Z tutejszéj drukarni Schnaydera wyszło temi czasy dziełko poezyjne w języku niemieckim, pod tytułem: *Lembergs schöne Umgebungen: Winniki, Waldfelsen und Quellenthal, oder Naturgenuss als bewährtes Heilmittel.* Jestto opisanie wierszem pięknych okolic Lwowa, mianowicie Winnik, Skał Lesienickich i Krętych Potoków, a ile nam wiadomo autorką tego, na ołtarzu natury w jéj hołdzie złożonego dziełka, jest jedna znakomita pani naszéj stolicy, która obok świątobliwego powołania swojego, obok chwil poświęconych kształceniu młodocianych umysłów, oddaje się także pracom umysłowym. S. J.

Z Warszawy. Wyszedł z pod prasy drukarskiéj, jedyny w swoim rodzaju w kraju naszym wydawany: »Tom 1szy pamiętnika o głuchoniemych i metodzie ich uczenia.« Zajmuje bardzo ważne, jasno wyłożone i mało znane przedmioty, któreby upowszechnić należało. Pracę tę mozolną, a tyle użyteczną winnismy szanownemu rektorowi teraźniejszego instytutu w Warszawie, panu Wysockiemu. Życzyćby należało, aby przy większéj liczbie prenumeratorów, częściéj to pismo wychodzić mogło. (K. W.)

*) Między innémi grali w orkiestrze: na fletrowersie Tulon, na oboi piérwszéj Brod, na fagocie Gebauer, na waltorni Mengal, na kontrabasie Tzaft, na wioloncelli Norblin.

Z Poznania. Pan L. Gąsiorowski, doktor medycyny i chirurgii, znany już poniekąd literackiéj publiczności z dzieła swego: *Brevis rei medicae in Polonia delineatio, ab antiquissimis temporibus usque ad an.* 1836, zamierza obecnie wydać w polskim języku: Historyję sztuki lekarskiéj w Polszcze od najdawniejszych czasów, aż do roku 1836. Dzieło to, jak prospekt opiewa składać się będzie z dwóch tomów i obejmuje: 1) Prace uczone lekarzy polskich z dołączeniem ich biografii i sądu o ich dziełach. 2) Przyczyny wzrostu i upadku sztuki lekarskiéj w Polszcze. 3) Historyją polskich akademii ze względu na sztukę lekarską. 4) Historyczną wiadomość o zarazach, lub innych tego rodzaju klęskach, które w rozmaitych czasach Polskę dutknęły. — Pan Ernest Günther, księgarz w Lesznie, wydawca szacownego pisma: »Przyjaciel ludu,« ogłosił prospekt na pismo czasowe, pod tytułem: Przewodnik rolniczo-przemysłowy. Pismo to wychodzić będzie co dwa tygodnie w półtora arkuszowych zeszytach. (G.P.)

Pokazuje się, że podanie, jakoby Herschel miał na księżycu postrzedz drzewa, rośliny, ludzi skrzydlatych i t. p. jest zmyśleniem. Spekulant księgarz w Hamburgu puścił tę bajeczkę w obieg. Dziennik filozoficzny edymburski zawiéra wykaz narzędzi astronomicznych, które Herszel zabrał z sobą na przylądek Dobréj Nadziei, ale nic nie wspomina o dalowidzie, którego soczewka miała mieć 24 stóp w przecięciu, jakto znajdujemy w pismie niemieckiém w Hamburgu wydaném. Nie możemy z resztą dziś jeszcze wyrzec, czyli w nauce optyki tak daleko się posuniemy, abyśmy mogli ujrzéć na księżycu żyjące istoty.

Frenologija (nauka o czaszkach) doznała ogromnego wstrząśnienia po śmierci swego założyciela Galla. Najstarszy z jego uczniów nié miał nic spieszniéjszego, jak natychmiast po śmierci swego mistrza zrobić doświadczenie na jego czaszcze, którą stosując do wszystkich reguł téj nauki, znaleziono prostym wypadkiem, że Gall musiał być bardzo głupi. Przypuściwszy zaś, że Gall miał rozumną głowę, natenczas nauka jego jest głupia. Jeżeli znowu naukę uznamy za rozumną, natenczas Gall, podług zasad swojéj frenologii, koniecznie był głupim. I tak i tak zawsze nie dobrze dla mistrza wypada.

W dzienniku *Revue de Paris* dowodzi Marmier od dawna uznaną prawdę: »Nic nowego nié ma na świecie,« w następujący wielce dowcipny sposób: »Jeden naród, mówi Marmier, »naśladuje własności innego; a te zasady sztuki lub polityki, które nim władają, nie są jego wynalazku, jak mylnie się chełpi; są one dawne i cudze, wzięte z innego czasu i od innego narodu. Średni wiek pożyczał u Włochów, Włosi u Grecyi, Grecyja u Egiptu, Egipt u Indyj, Indyje — Bóg wié u kogo. Na tém nam schodzi całe życie, że rozbiérając doświadczenia i wiadomości naszych ojców, ciągle tym samym wracamy się torem, w tém samem ciągle kręcimy się kole. Nie przedsiębierzemy nic takiego, coby gdzie indzie już przedsiębranem nie było. Molier wyznaje otwarcie, że dobre pomysły swoje bierze, zkąd może; Kornella natchnęły pieśni Cida; Szekspir dramatyzuje powieści Boccacia, te powieści zaś były znowu przekładem starych powieści francuzkich. Milton bierze z włoskiéj komedyi myśl do swojego »Straconego raju,« Walter-Skott przyodziéwa tylko stare piosnki ludu, Göthe czerpie z kroniki jakiegoś starego magika, równie jak Rasyn, Alfieri, Szyller, i inni z księgi dziejów świata. Takto, nic nowego nie wymyślimy, ani przedmiotów poezyi, ani charakterów. Świat jestto istny *kalejdoskop*, który podobało się Bogu natrząść myślami rozmaitéj barwy. Gdy szkiełko obrócisz, nic ci się nie pojawi nowego; powstaną tylko nowe kombinacyje, i na témto jedynie, na przeistaczaniu, powiększaniu, połączaniu innych pomysłów z otrzymanym zkąd innąd piérwotnym, zależą twory jeniuszu.«

Pewnego dnia rzekł Napoleon do hr. Ludwika Narbonne: »Wiem dobrze, że wcpana matka nie lubi mię.« — »Sir,« odpowiedział dowcipny hrabia, »stan podziwu ku W. Ces. Mości nie może ją jeszcze do tego usposobić.«

Nie dawno stawiono przed sąd w Paryżu dwoje zgrzybiałych małżonków. Kobiéta była winną, lecz mąż towarzyszył jéj, i płakał gorzko. Gdyby, mówi dziennik *Messager*, choć iskierka poezyi znajdowała się w sądowym kodeksie, wtedy staruszka pewnie byłaby za niewinną uznana. Ma ona lat 72, a mąż jéj 84, jednakże starość zgięła ją we dwoje, a on prosto się jeszcze trzyma; twarz jego poważna, siwy długi włos spada mu na ramiona. Cała wina staruszki ztąd pochodziła: iż na ulicy żebrała jałmużny. »Ach panie sędzio!« rzekła, »mój mąż ma 84 lat, a ja 72; już oboje nie możemy nic sobie zarobić. Wprawdzie żandarm zabraniał mi żebrać, i jam sama tego nie chciała, ale głód mię przymuszał.« Tu powstał starzec, i zalewając się łzami, zaklinał sędziego: »Nie karz panie téj biednéj kobiety, ona dla mnie chciała na polewkę wyżebrać!« Wszystko nie pomogło, osądzono ją na 24 godzin więzienia. Po wydanym wyroku kobiéta obróciła się do małżonka i rzekła: »Daj pokój mężu; widać, żeto nie Pan Bóg ten wyrok wydał, boby nam pewnie przebaczył.« Scena ta wszystkich napełniła wzruszeniem.

W *Gymnase dramatique* przedstawiona będzie nowa sztuka Scribego, z bardzo krótkim tytułem: *St!* Jedna z przygód Katarzyny z Potemkinem jest treścią tego utworu. Mamy nadzieję, że tytuł nie wzbroni słuchaczom, aby swego zadowolenia nie mieli głośno wynurzyć.

Gmach teatralny w pewném prowincyjalnem miasteczku zamieniony został na magazyn siana. Magistrat tego, po artystowsku myślącego miasteczka, odmieniwszy jednę literę w dawniéjszym napisie: *Musis consecratum*, zastosował tenże do nowego przeznaczenia budynku: *Mulis consecratum*.

Gazeta Wiejska następującą czyni uwagę: Nakoniec w całych Niemczech jedność przywróconą została. Piérwsze słowo, jakie usłyszysz w całych Niemczech wstawszy rano, jest: kolej żelazna; ostatnie, aż do poźnéj nocy jest: kolej żelazna, a każdy prawy Niemiec przynajmniéj raz co nocy musi śnić o kolei żelaznéj.

W jedném miasteczku podczas imienin jednego z urędników było liczne zgromadzenie i grano w sztosa. Znajdujący się w tém towarzystwie młody mężczyzna piérwszy raz w życiu ponterując i dublując ciągle stawkę, przegrał niechcący kilkanaście talarów. Po zakończeniu gry, widząc, że już przegranéj odzyskać nie potrafi, zapytał obecnych, ktoby był jego najlepszym przyjacielem? a gdy mu oświadczono, iż wszyscy zarówno go kochają, rzekł do jednego: »Oto panie jest kij, ja jestem młody, niedoświadczony, i za dzisiejszą przegranę winienem być ukaranym, a zatem jeżeli istotnie pan mnie kochasz, racz mi wyświadczyć łaskę, dając mi 3 plagi, ale dobre, bowiem te będą pamiątką wiecznego rozbratu z kartami. Po usilném przeto naleganiu, skutek uwieńczył żądanie, przy zachowaniu jednakże oszczędności sukni. Poczém z najzimniejszą krwią, w czułych wyrazach złożył podziękowanie temu, który go ukarał, przeprosił obecnych, a powinszowawszy trzy razy solenizantowi odszedł do domu z postanowieniem, iż więcéj grać nie będzie. (Taki sztos z parolem aby był pobudką do zaniechania go dla wszystkich młodych i niedoświadczonych graczy, którzy częstokroć bez względu na kieszeń parole zaginać zwykli.)

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.